Rok IV Rzeszów, 20. 8. 1955 r. Nr 31 (277)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Dziś w numerze:

W. Prusek — „Ojciec debiutantki" w przemyskim Fredreum

A. Codello — Wśród braci rzemieślniczej

I. G. Fall — Zapomniany kompan Fredry

Jotgiel — Więcej poetów dobrych i różnych

A. Marczak — Wiersze Jana Zycha

JAN GRYGIEL

Niecierpliwi

Ludzie o oczach niecierpliwych
o dłoniach jak z żywego srebra
przystają co dzień podnieceni
przy budowie osiedla.

Wzrokiem dodają cegłom skrzydeł
dłońmi piętra znaczą w błękicie
i pokazują wam w powietrzu
okno, które jutro ujrzycie.

Ich tęsknota widzi już wcześniej
za firankami pelargonie
i słyszy tupot swoich dzieci
na wyrojonym w snach balkonie.

Wracają nasyceni w zmierzchu
z światłem budowy na źrenicach.
Wtedy rozjaśnia się przez chwilę
ciemne poddasze czy piwnica.

Nocą wilgoć z kątów jak zmora
spadnie na pierś śpiącym głęboko.
Lecz nazajutrz znów nieść się każą
w dom jutrzejszy porywczym krokiem.

Festiwalowe spotkania

Skończył się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Delegaci ponad 100 krajów rozjechali się do swych domów. Opustoszały festiwalowe miasteczka namiotów. Pozostały wspomnienia, zadzierżgnięta przyjaźń, wspólne fotografie... Rozpocznie się korespondencja przyjaciół.

Dopiero teraz, patrząc z perspektywy minionych dni, można uporządkować doznane wrażenia i przypomnieć przeżyte na Festiwalu chwile.

A było to tak:

Jeden ze słonecznych (w czasie trwania Festiwalu w Warszawie była śliczna pogoda) festiwalowych dni. Rzeszowskie pieśni regionalne odbijają się echem od wysokich kamienic, niosą melodię po warszawskich ulicach. To zespół artystyczny Fabryki Obuwia z Krosna i delegacje młodzieży wszystkich powiatów województwa rzeszowskiego udają się na spotkanie z delegacjami młodzieży krajów Afryki i Azji. Przechodnie przystają na trotuarze, z okien mieszkań wyglądają zaciekawione twarze; — Festiwal... Pozdrawiają przejeżdżającą delegację województwa rzeszowskiego — delegaci odpowiadają uśmiechem.

Wreszcie jesteśmy przed kwaterą gości. Regionalna krośnieńska kapela wyciąga instrumenty z futerałów i już rozbrzmiewa pieśń — **Nad rzeszowską Jasiołką Zieleni się gęsty las...**

Przed kwaterę wychodzą egzotyczni goście. Czarny Cejlończyk kołysze się rytmicznie w takt skocznej melodii. Ktoś proponuje; zatańczymy!

Orkiestra gra **„Szła dziewczeczka do laseczka"**. Do utworzonego na prędce kółeczka przybywa coraz więcej wesołej młodzieży. Oto czarny przedstawiciel krajów arabskich w jaskrawobiałym turbanie na głowie przyłącza się do zabawy. Murzynki i Murzyni przeplatają kolorowe stroje z krośnieńskiego. Wesoły Cejlończyk we wzorzystej koszuli zaprasza do tańca Basię Matelowską z Krosna... Ciemne ręce murzynów łączą się w uścisku z białymi.

Po tym nieoficjalnym i nieprzewidzianym w programie wzajemnym zapoznaniu się, ot tak — na ulicy — wszyscy tworzą regularną grupę i z ludową kapelą na czele udają się do przestronnej świetlicy. Tutaj kierownik delegacji rzeszowskiej Mieczysław Syta pozdrawia w imieniu całej młodzieży naszego województwa delegatów z Afryki i Azji — a młodzież rzeszowska wrecza im pamiątkowe upominki.

— Niech te upominki — mówi Mieczysław Syta — zawsze i wszędzie przypominają Wam młodzież polską. Zapewniamy Was, że macie w nas serdecznych przyjaciół na całe życie.

Kierownik delegacji z Sudanu Mohamed Ibrahim — odpowiada:

— Warszawa będzie dla nas zawsze symbolem pokoju i radosnego życia. Dziękujemy Wam za serdeczne przyjęcie. Niech żyje młodzież całego świata, niezwyciężona w walce o niezawisłość, pokój i szczęście!

Gra kapela ludowa. Tańczy zespół regionalny Fabryki Obuwia z Krosna. Rzeszowskie „Jacoki" i „polki bez nogę" bardzo się podobają zagranicznym gościom, którzy rewanżują się zespołowi krośnieńskiemu... Grupa Sudańczyków wyskakuje na scenę i tańczy swój stary taniec narodowy, który Sudańczycy tańczą w momentach największego zadowolenia i radości. Sudańczycy ocenili, że taką odpowiednią chwilą jest właśnie dzisiejsze spotkanie — a na Festiwalu tańczyli już swój ludowy taniec wiele razy.

Tłumacze mają dużo roboty. Młodzież naszego województwa chce się dowiedzieć jak najwięcej o Sudanie, Cejlonie, Rodezji, Pakistanie, Kenii... o, właśnie — Kenii!

Rozmawiam z przedstawicielem tego kraju, który do Polski przybył drogą nielegalną i prosi żeby jego nazwiska nie zamieszczać w prasie. Rozumiem...

— W tym czasie kiedy my tutaj na Festiwalu w Warszawie bawimy się wesoło — mówi mój czarny rozmówca — ponad 80 tys., a w tym przeważnie młodzież w mojej ojczyźnie cierpi tortury w obozach koncentracyjnych. W mojej ojczyźnie nie wolno się spotykać więcej niż trzem osobom... Zresztą cały świat wie o bestialstwach i przemocy żołdaków kapitalizmu angielskiego w Kenii. Jednak te wszystkie tortury nie załamią nas w walce o niezawisłość i prawa demokratyczne. Warszawski Festiwal jest dla nas ogromnym poparciem moralnym. Po powrocie do ojczyzny opowiemy o Festiwalu. Przekonamy naszych kolegów, że walka o niezawisłość narodu jest do wygrania i w walce tej musimy zwyciężyć. ...Festiwal jest wspaniałym przeżyciem w moim życiu.

Helena Słowik z zespołu krośnieńskiego wywija walczyka z nauczycielem z Cejlonu Viktorem De Silva. Adela Folta tańczy z Sudańczykiem Tahirem Abdel Basit — jej jasne blond włosy są szczególną atrakcją dla egzotycznych, czarnych gości. Wokół sali młodzież rzeszowska rozmawia z Egipcjanami, Pakistańczykami, Sudańczykami i innymi. Ja rozmawiam jeszcze z przyjacielem z Kenii...

* * *

Grochów — miasteczko Festiwalowe. Ogromny plac centralny upstrzony dziesiątkami grup dyskutującej młodzieży. Podchodzę do jednej z nich. Przysłuchuję się rozmowie. Grupa Polaków, wśród których zauważam kilku z herbami Rzeszowa, prowadzi rozmowę z dwoma Norwegami. Rozmawiają w języku niemieckim. Słabo z tą znajomością obcego języka — myślę, bo rozmowa podobna jest do krajania świeżego chleba bardzo tępym nożem, no ale... dogadać się można.

Pracownik portowy Aüne Amülf z Tronhein mówi, że dotychczas niewiele słyszał o życiu młodzieży polskiej i w ogóle o Polsce. Norweskie gazety będące na usługach kapitalistów nie piszą o osiągnięciach kraju socjalizmu i krajów demokracji ludowej — a prasę postępową, robotniczą trudno jest dostać bo wychodzi w małych ilościach ze względu na skromne fundusze jakimi dysponują postępowi wydawcy.

Drugi Norweg Bernard Rustand wspomina o polskich sportowcach a zwłaszcza o Sidle, który w Norwegii jest bardzo popularny...

Z zainteresowaniem słuchają słów Norwegów Franciszek Mołek z Raniżowa, Staszek Lew z Handzlówki pow. Łańcut i Józek Jurkowski z WSK Mielec. Dowiadują się o życiu młodzieży krajów mroźnej Skandynawii.

Podchodzę do innej grupy. Jest to grupa „japońska" ponieważ opowiadają o sobie dwaj Japończycy. Jeden z nich zna język niemiecki — my też i jakość to idzie.

Tokasi Simazu jest studentem medycyny z Osaki, a Tamidzi Okuda studentem szkoły aktorskiej z Tokio.

— Widziałem Hiroszimę — mówi Tokasi — rozmawiałem z ludźmi, którzy jeszcze do dzisiaj na całym ciele noszą ślady wybuchu bomby atomowej. Straszne to, straszne... Nie możemy dopuścić aby jeszcze kiedyś ta potwora broń osierocała i zabijała. Zbieramy podpisy za bezwzględnym zakazem produkcji i zniszczeniem zapasów broni masowej zagłady... Nigdy więcej Hiroszimy! — Festiwal warszawski jest poparciem tego hasła, a tym samym postępowej młodzieży naszego kraju.

Wiele podobnych rozmów odbywało się na placu centralnym miasteczka namiotów. Temat: **braterstwo i przyjaźń młodzieży całego świata, młodzieży, która zdąża do jednego wspólnego celu — do utrwalenia pokoju światowego.** Piękne są te rozmowy. Wymowne... A rozmów takich tysiące.

Julian Woźniak
Foto — Kruczek

Z prelegentem TWP

Pięć lat temu powstało w **Polsce** Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Od pięciu **lat** docierają jego prelegenci **do** miasteczek i odległych **zakątków** wiejskich, by nieść **tam** wyniki badań naukowych **z** różnych dziedzin wiedzy. **Od 5** lat spotkać możemy **w całej Polsce, a** więc i **w naszym** województwie afisze, zapowiadające odczyty **o** Mickiewiczu, Konopnickiej, Koperniku, o zaćmieniach słońca i świecie bakterii.

Praca ta wymaga od prelegentów nie tylko przygotowania naukowego, dokładnego opanowania materiału, **trzeba** przecież odpowiedzieć **nieraz** na pytania słuchaczy, **bardzo** często nieźle przygotowanych.

Jest tu jednak inne jeszcze, niełatwe zadanie: jak **zainteresować** słuchaczy, jaką metodą do nich podejść, **by** wyszli z odczytu zadowoleni i ożywieni, a nie znudzeni.

Nieraz trzeba pokonać inne jeszcze trudności, czasem po prostu nikt się nie zatroszczył o to, by odczyt należycie ogłosić, by zapewnić frekwencję, by otworzyć salę gdzie ma się odbyć zebranie. Jak sobie wtedy radzi prelegent, który przywędrował kilkanaście kilometrów? Czy rezygnuje z odczytu i wraca z niczym do domu? Różnie bywa. Spróbujmy oprzeć się na konkretnym przykładzie.

— Jest ciepły, czerwcowy poranek niedzielny. Profesor Władysław Stanio z Liceum Pedagogicznego w Rzeszowie zjawia się na wsi, mając w programie wygłoszenie odczytu: „Krew daje życie". Wygłoszenie odczytu? To chyba niezbyt ścisłe określenie, to brzmi zbyt sucho i formalnie. Trzeba temat jakoś zbliżyć do słuchaczy, pokazać może jakieś doświadczenie. Prelegent ma w teczce mikroskop.

Tylko że tych słuchaczy niestety nie ma. Przedstawiciel gromady, który miał ogłosić odczyt i zapewnić frekwencję, jest wyraźnie zakłopotany: „Bo widzicie, u nas dzisiaj odpust, nikt Wam na odczyt nie przyjdzie, sami przecież rozumiecie..."

Profesor Stanio jest doświadczonym prelegentem, nie przejął się zbytnio brakiem słuchaczy.

— Wiecie co — postarajcie mi się o stół, a ja sobie już jakoś poradzę.

— A po cóż Wam stół? — pyta zdziwiony reprezentant wsi.

— Niech Was już o to głowa nie boli — odpowiada prelegent z niezmąconym spokojem.

Stół się szybko znalazł. Nawinęło się dwóch chętnych chłopców, którzy stół przynieśli i postawili go na życzenie prelegenta na niewielkiej łączce. Prelegent wyjmuje mikroskop, zaczyna koło niego manipulować, coś tam jeszcze wyciąga z teczki. Chłopcy przystanęli, zaczynają się z ciekawością przyglądać. Za chwilę jest ich już kilkunastu.

— A wiecie chłopcy, co się robi z ziemniaków, żeby się koszule dobrze trzymały po uprasowaniu?

— Wiadomo krochmal.

— A wiecie, jak ten krochmal wygląda? No, to popatrzcie. — Tu prelegent pozwolił wszystkim chłopcom po kolei zajrzeć do mikroskopu.

— Oj, to całkiem wygląda, jak ślimaki — krzyknął jeden z chłopców.

Za chwilę kropla jodyny zabarwiła skrobię na fioletowo, oczywiście każdy z chłopców chciał to obejrzeć — ciekawych było coraz więcej. Nie trudno było wtedy nawiązać rozmówkę na temat zarazków gruźlicy zwłaszcza, że ojciec jednego z młodocianych słuchaczy umarł na tę groźną chorobę.

A potem pogadanka zeszła na krew i jej grupy. Niby, że magnat czy szlachcic miał inną krew a chłop inną, jak mówiono dawniej. Oczywiście znaleźli się ochotnicy, którzy chcieli zobaczyć parę kropel własnej krwi pod mikroskopem i zgodzili się na pobranie na poczekaniu próbek, z zachowaniem zasad dezynfekcji. Prelegent roztoczył teraz przed zaciekawionymi słuchaczami obraz tragicznej sytuacji człowieka, który może umrzeć z upływu krwi, jeżeli go nie uratuje transfuzja z tym, że grupa krwi musi być ta sama. Znalazło się też wśród obecnych 4 ochotników, którzy zgłosili się do Stacji Krwiodawstwa w Rzeszowie.

Czy uwierzycie, że w po-

łowie tak zaimprowizowanego odczytu (raczej pogadanki, bo prelegent żadnego tekstu nie odczytywał) było już 150 ludzi. Nie tylko młodych, ale i starszych, których ściągnęła młodzież. I długo jeszcze nie chciano puścić zmęczonego prelegenta, zasypując go różnymi dodatkowymi pytaniami.

Ktoś pomyśli może: Gdy na targu małomiasteczkowym jakiś handlarz sprzedaje uniwersalny środek przeciw odciskom lub do wywabiania plam — potrafi łatwo skupić koło siebie tłum gapiów.

Tak jest istotnie, ale pomiętać trzeba, że nasz prelegent TWP nie sprzedawał żadnych rzekomych nadzwyczaj skutecznych lekarstw. Dawał natomiast rzetelną wiedzę, wskazywał jej praktyczne wyniki w oparciu o naturalne zainteresowania i potrzeby ludzi na wsi. A że robił to w interesującej, przystępnej formie, że nie znużył teoretycznymi wywodami, ale podszedł do zagadnienia praktycznie — to jest niewątpliwie godne uwagi i... naśladowania.

T. Stanisz

Wiesław Prusek

„OJCIEC DEBIUTANTKI" w przemyskim Fredreum

Jeden z krytyków teatralnych w pewnym ośrodku kulturalnym powiedział mi raz, że od teatrów amatorskich nie można wymagać jakiegoś zbytnio ambitnego, artystycznie i ideowo repertuaru.

Trudno aby myśleli nad jakimiś pozycjami odkrywczymi, by kombinowali nowe interpretacje sztuk i postaci. Wartość ich pracy leży w tym — mówił dalej, że sami mają godn zajęcie, wnudują się wzwyż i że na ich spek-

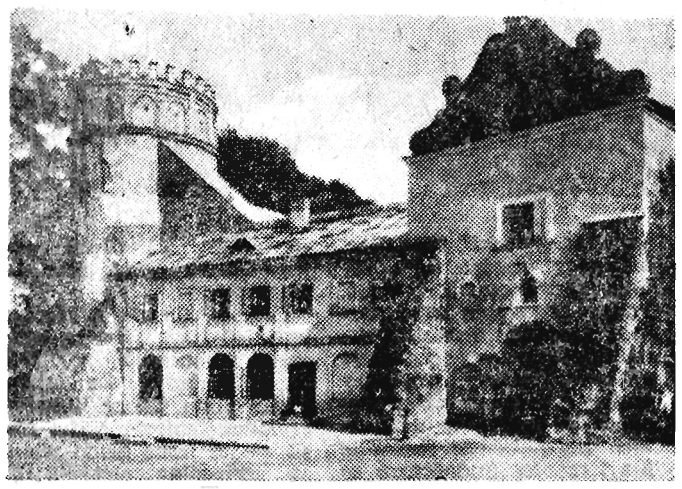

Zamek w Przemyślu siedziba zespołu Fredreum

taklach zawsze spędzi przyjemnie czas paręset ludzi.

Ale o działalności przemyskiego teatru „Fredreum" można mówić w samych superlatywach.

Zespół ten jest bodajże jedynym w swoim rodzaju teatrem w Polsce. Ma własne finanse, własny duży zespół aktorski, własnych — jakby nie było doświadczonych reżyserów, scenografów i... własną tradycję. Tradycję sięgającą początków obecnego stulecia, związaną z setkami sztuk i nazwiskami sławnych dziś artystów dramatycznych i operowych.

„Fredreum" zaraz po teatrze lubelskim rozpoczęło działalność jako drugi teatr w Polsce Ludowej. W ciągu dziesięciolecia takie ambitne pozycje jak dwie operetki: **„Księżniczka Czardasza"** i **„Ptasznik z Tyrolu"**, poza tym **„Krakowiacy i Górale"**, **„Tai-Jang się budzi"**, **„Maria Stuart"**, **„Przyjaciel nadejdzie wieczorem"**, **„Grzesznicy bez winy"**, wiele komedii Fredry i Bałuckiego oraz szereg innych.

Dlatego „Fredreum" trzeba umieścić gdzieś między zespołami amatorskimi i zawodowymi i można od tego zespołu więcej wymagać niż od szeregu innych i dlatego — z tego punktu widzenia — repertuar ostatniego sezonu budzi wiele obaw.

Od jesieni wystawiono: **„Sprawę rodzinną"**, wznowiono dwie pozycje: **„Moralność pani Dulskiej"** — starannie i **„Romans z wodewilu"** — niedbale, wystawiono wodewil **„Ojciec debiutantki"** Leńskiego w przeróbce Bandy'ego, a — zapewne po niewielu próbach — szybkościowo komedię Fredry **„Przyjaciele"**.

Zatrzymajmy się na wodewilu. Dotąd podczas spektakli przy szczelnie wypełnionej sali, ludzie śmiali się, bawili, może nawet wzruszali. Przez parę godzin oddychali inną atmosferą. Tak, ale... Nawet dziecko dostrzeże, że treść jest nie tylko banalna, ale bardzo naciągnięta, nie ma nic wspólnego z najwęższej nawet pojętym realizmem, wartość społeczna i artystyczna sztuki jest bardzo nikła, niemal wszystkie dowcipy są płaskie, sytuacje nieprawdopodobne i przeciągnięte bez umiaru.

Wodewil **„Ojciec debiutantki"** ma bardzo wiele pokrewieństwa ze scenariuszami z okresu początków filmu czy pseudo - komedyjnymi farsami jakie często panoszyły się na naszych scenach. Nie ma w sobie prawie nic z ambicji artystycznych.

Będziemy szczerzy: **„Ojciec debiutantki"** podoba się dlatego, że wprowadza fraki ploteczki, intrygi, złote życie, wino i kobiety, trochę muzyki i śpiewu. Zresztą ta oprawa muzyczna jest też bardzo uboga. Właściwie jest tam jedna tylko, przyjemna dla ucha, melodia aria.

Omawiany wodewil reżyserował Adam Wysocki. Jak zawsze dokładnie, starannie, precyzyjnie. Dzięki jego pracy i dobrej interpretacji aktorskiej naiwny wodewil nabrał jednak rumieńców życia.

Wydaje mi się jednak, że reżyser był za bardzo ostrożny, zbyt serio potraktował tekst — stąd w spektaklu wiele sprzeczności i zaostrzenie właśnie słabych stron, podkreślenie płycizn. Przecież tekst wodewilu nie może zwłaszcza dzisiaj być traktowany na serio, aż się domaga groteskowego, satyrycznego podbarwienia.

W drugiej odsłonie, jest scena na scenie. Widzimy kulisy tego teatrzyku, poznajemy aktorów — jako kupę błaznów, próbują sztukę autora, który w innej scenie przedstawiony jest jako dziwak, małowartościowy, komiczny i bezkrytyczny grafoman, i potem ci aktorzy wspólnie z podlotkiem, który może mieć tylko zdolności i zamiłowanie do gry — odnoszą w ostatniej odsłonie sukces sceniczny.

Albo balet. Nie wiadomo jak miał być pokazany. Czy też kiepski — jak koledzy aktorzy z teatrzyku czy jako rozrywkowa wstawka do wodewilu. W pierwszym wypadku jest za dobry — w drugim — za słaby. Widocznie kompromis.

Nie bardzo uzasadniona i związana z całością jest końcowa scena ostatniej odsłony, pełna filmowych wprost momentów i sporego ładunku taniej ckliwości.

Niezdecydowana też była oprawa sceniczna. Ani na serio, ani groteskowo. Z tekstu wynika, że zdziecinniały hrabia rysuje okropne bohomazy, a przecież w jego pracowni wiszą na ścianach nienajgorsze płótna. W każdym razie nieścisłości.

Spektakl „Ojca debiutantki" zasługuje na uwagę z innego względu. Można się było mianowicie przekonać, że fredrowcy — gdy popracują — potrafią tak jak dawniej — dobrze zagrać. Swobodnie, wesoło, naturalnie, bez zbędnej sztuczności i farsy. Kapitalny był Marian Stupnicki, który w postaci tytułowej wydobył maksimum humoru. Każdy dowcip tekstu był u niego poparty trafnym gestem i wyrazem twarzy.

Niezapomnianą postać Lizy opracowała Danuta Kowalowa. Była taka zawzięta w postanowieniu, taka przy tym urocza i zabawna w naiwności. Był to wdzięk całkiem pozbawiony natrętnego mizdrzenia się.

Bardzo poprawne postaci opracowali Julian Kowal (książę Witryński), Adam Wysocki (hrabia), Helena Wysocka (Raisa Surmiłowa).

Poza tym nawet postaci drugoplanowe zostały opracowane zupełnie starannie. Słowa uznania należą się: Bukładowi, Guzkowi, Mareszowi i innym. I teraz końcowa refleksja: **„Fredreum"** ma wszelkie dane, by na jego scenie pojawiły się sztuki ambitne, komedie zrywające z rutyną zbliżającą się do farsy i nieszablonowe, śmiałe artystycznie, poruszające problemy niekoniecznie błahe.

Udadzą się nie tylko komedie, ale i operetka i dramat. Czy **„Fredreum"** spełni nasze repertuarowe marzenia? Miejmy nadzieję, że tak...

W. P.

WŚRÓD BRACI RZEMIEŚLNICZEJ W CECHACH RZESZOWSKICH

Wiek XVIII stanowi przełom w gospodarce cechowej. Z jednej strony drobiazgowa reglamentacja i przerosty monopolistyczne dochodzą do krańcowości, cechy starają się w sposób formalistyczny jak najdłużej utrzymać rozluźniającą się całość — z drugiej zaś strony, dokonujące się procesy ekonomiczne zaczynają podważać kostniejące przepisy cechowe. Z czasem, gdy rozwój gospodarki towarowej wysunie zagadnienie przejścia od indywidualnego, rzemieślniczego, feudalnego warsztatu do wyższych manufakturowych, wczesnokapitalistycznych form produkcji, cechy stają się czynnikiem wstecznym, hamującym rozwój sił wytwórczych. W naszych rzeszowskich warunkach zjawisko owych przemian z różnorodnych powodów, bardzo powoli będzie dochodziło do głosu.

Organizacje cechowe Rzeszowa, podobnie jak i gdzie indziej usiłują bez reszty opanować wszystkie dziedziny gospodarczego życia miejskiego, zarówno w zakresie produkcji jak i w zakresie zbytu. Szczególną sytuację przeżywa cech tkaczy. Właśnie w tym celu ze szczególną ostrością występują tendencje rozkładowe, walka o wyłączność i reglamentację. Szereg powodów złożyło się na to. Chłopi rzeszowscy „partackim" sposobem tkają płótno na własne potrzeby i zbyt. Ci sami chłopi, w ramach powinności pańszczyźnianych, czasami za określoną zapłatą, otrzymując surowce z folwarku, sposobem chałupniczym, przy pańskim, chociaż niekapitalistycznym nakładzie, również tkają płótno. Kupcy płóciennicy też nie żyją w zgodzie z cechem. Co więcej, w samym cechu, bardziej przedsiębiorcze jednostki — jak Jan Kochmański około 1727 roku — podejmują jak gdyby próby zorganizowania nakładu mieszczańskiego. Organizacja cechowa, w takich warunkach, wyraźnie hamuje rozwój produkcji tkackiej, stąd jej wsteczność.

Solidarna obrona wspólnych interesów na zewnątrz nie chroni cechu od konfliktów wewnętrznych. Pulsujące życie braci cechowej ujawnia owe konflikty. Przeróżne sytuacje życiowe, pewne anse i animozje na pozór zupełnie osobiste, zaświadczają o społecznych akcentach, które często drzemią na samym dnie owych nieporozumień. Tak w 1707 roku prowadził wojnę w cechu szewskim ze starszyzną brat cechowy Jakub Paczwiński, który ponoć hardo wobec niej sobie poczynał. Starszyzna cechowa „z zawziętości" bić go kazała. Chciała go załamać i już pokornego pod swoje rzucić stopy. Kiedy indziej w cechu kuśnierskim wystąpili przeciwko cechmistrzowi Matiaszowi Bieżanowskiemu wszyscy bracia cechowi pod przewodem Jana Drewniaka, który ich buntował.

Za formalną, statutową zasadą równości praw i obowiązków kryją się zwyczajne życiowe konflikty społeczne. Taką deklaratywną formalnością bez praktycznego pokrycia był w cechu piekarzy przepis, który brał w opiekę uboższych braci oraz wdowy po braciach cechowych przed niesumienną konkurencją zamożniejszych. W istocie rzeczy przepisy cechowe regulują całokształt spraw cechu z punktu widzenia interesów silniejszej ekonomicznie starszyzny cechowej. Wielki tumult powstał w cechu piekarzy około 1729 roku. Wdowy cechu piekarskiego Magdalena Szyszkiewiczowa, Janowa Kowalska, Janowa Morawska i inne, z niejaką Ruczkową na czele, dosłownie napadły na lokal cechu, wygrażając cechmistrzowi Wojciechowi Kurkiewiczowi i braciom cechowym. Mocne, oskarżające słowa padały szczególnie pod adresem samego cechmistrza. Kurkiewicz „sam będąc bogatym", nigdy wdowom dobrego słowa nie powie, zawsze z furią na nie napada, do więzienia wsadzić przykazuje, bez miłosierdzia pociąga je do płacenia wszelkich powinności na równi z piekarzami. Odważne wdowy, kiedy nic nie wskórały w cechu, poszły na skargę do sądu miejskiego. W sądzie okazało się, że cechmistrz, jeśli umiał „wdowy majstrowe turbować", to rzetelnie i uczciwie kasy cechowej prowadzić nie umiał. Pieniądze cechowe bez kwitów i rachunków, umiał na lewo i prawo, dla własnego użytku wydawać. Tak oto w praktyce wyglądała statutowa gwarancja ochrony słabszych przed mocniejszym w cechu.

Teoria przepisów i praktyka życiowa zwyczajnie były ze sobą w niezgodzie i tam, gdzie była mowa o obowiązkach majstra względem czeladników i terminatorów, gdzie mowa o wynagrodzeniu, czasie pracy i jej warunkach. Całemu życiu cechowemu patronuje tendencja do zapewnienia przewagi starszyźnie cechowej nad resztą braci cechowej, zaś majstrowi nad uczniami. Tendencja taka przebija chociażby z przepisów statutowych cechów rzemieślniczych Rzeszowa, jeśli jest na przykład mowa, że czeladnikowi, prócz roboty dla majstra, nie wolno innej wykonywać pod karą jednego talara, że jednemu majstrowi nie wolno odbijać czeladnika drugiego majstra, ani też podbijać ustalonych w cechu zarobków czeladniczych pod rygorem surowych kar pieniężnych i więzienia. Uprzywilejowanie w cechu, mimo zwrotów retorycznych o równości, istniało. Synowie majstrów bywają zwalniani od obowiązku składania egzaminu czeladniczego i innych powinności. Inaczej ma się sprawa z chłopcem terminującym, który „póki będzie u którego majstra — czytamy w statucie cechu niemieckiego — powinien być we wszystkim posłuszny i robić co mu majster lub majstrowa rozkaże".

Wiele zastrzeżeń wśród braci cechowej budziła gospodarka kasowa starszyzny cechowej. Burzyła się brać cechowa w cechu bednarzy na Matiasza Kanasiewicza, cechmistrza swojego, który mimo zbliżenia się terminu nowych wyborów nie poczuwał się do obowiązku przedłożenia rachunków i wyliczenia się z wygospodarowanych pieniędzy cechowych przed zgromadzeniem.

O odrębnych organizacjach czeladniczych jako wyrazie obrony praw i interesów własnych przeciwko majstrom, o strajkach czeladników, bojkocie majstrów niewiele dotąd wiemy. Wiemy natomiast, że statut krawiecki kazał usuwać ze zgromadzenia czeladników i innowierców, w wypadku, gdy miał być czytany przywilej, jakby na podkreślenie, że przywileje cechowe dotyczą wyłącznie majstrów. Wiemy dalej, że w 1747 roku miał miejsce w Rzeszowie krótkotrwały strajk piekarzy. Nie był to wprawdzie pełny strajk. Nie objął on równocześnie wszystkich piekarzy. Byli widocznie wśród nich tacy, którzy z bojaźni, czy innej przyczyny nie przystąpili do niego. Przez kilka dni nie było w Rzeszowie chleba, chociaż mąki w mieście było pod dostatkiem. Piekarze prawdopodobnie żądali podwyżki cen pieczywa — zwierzchność zamkowa odmawiała, stąd całe zajście. Instygator zamkowy Kazimierz Opolski potraktował całą sprawę jako wykroczenie przeciwko zwierzchności zamkowej. Za to, że byli „nie posłusznymi i całe rebelizantami stali się", piekarze rzeszowscy stanęli przed sądem. Stanął przed sądem Jakub Bodziński, starsi cechowi Franciszek Kopeć, Antoni Lipski, Jakub Rzepa, Kazimierz Rak, Wojciech Grabowski, Jan Adamiec oraz brać cechowa. Sąd miejski, na wniosek Opolskiego, nałożył na cały cech piekarzy karę 20 grzywien. Rola zwierzchności zamkowej w życiu cechów rzeszowskich, mimo prób sprzeciwów, była decydująca.

Drobiazgowa reglamentacja, przerosty monopolistyczne cechów, walka z partaczami, próbami nakładu mieszczańskiego, narastające sprzeczności interesów, konflikty w łonie cechów istniejące, deklaratywność statutowej zasady równości, wszystko to w sumie hamowało rozwój produkcji, pogłębiało rozkładowe tendencje w cechach, powodowało, wśród innych przyczyn, upadek gospodarczy Rzeszowa w dobie saskiej.

A. Codello

WIĘCEJ POETÓW dobrych i różnych

Znowu nagromadziło się w naszej tece poetyckiej sporo utworów satyrycznych, które czekają na omówienie. Są to na ogół wiersze dość ciekawe, o różnorodnej tematyce i różnym stopniu dojrzałości poetyckiej. Nie ma wśród nich pozycji, o wybitnych wartościach, które by zdradzały zdecydowany talent satyryczny autorów, ale można znaleźć wiersze zbliżone do poprawności, świadczące o pewnym wyrobieniu literackim. Do tego typu utworów należy wiersz pt. „Przygoda", który otrzymaliśmy od J. B. z Przemyśla. Sądzę, że zasługuje on na opublikowanie w całości w naszym kąciku porad poetyckich. W ten sposób zapoczątkujemy cykl „debiutów" działu poetyckiego. Piszę debiutów w cudzysłowie, gdyż nie będzie to oczywiście równoznaczne z normalnym startem poety na łamach czasopisma literackiego. Jestem jednak pewien, że nawet zacytowanie utworu w całości i opatrzenie go krytycznymi uwagami będzie stanowiło podnietę twórczą dla młodych poetów.

A oto wiersz:

„PRZYGODA"

Ustawiał przez cały tydzień robotę w terenie
odgórnie, po linii do dołów wysłany,
wyjeżdżał sił pełen, a powrócił cieniem
na duszy i ciele zupełnie złamany.

Ledwie do poduszki czułe się przytulił,
nim zdążył pomyśleć jak życie jest marne
już sen go wszechwładny nicością otulił
i wkrótce sprowadził widziadła koszmarne.

I ujrzał jak w masy on niezłomnie pcha się
poprzez wąskie gardła pełne bumelantów
i walczy aktywnie, i robi co da się
swymi sposobami pełnymi wariantów.

Lecz wkrótce jak z gardła pijaka wypchnięty
ujrzał siebie w prasie potężnej, parowej,
której śruby z jego sloganów wycięte
odgórnie mu cisną nieszczęśliwą głowę.

Zaś z dołu oddolna krytyka go ciśnie.
Lecz on się nie daje, walczy na platformie
na poziom się wspina — to w pionie zawiśnie
i wnioski wysuwa w coraz nowej formie.

Właśnie na odcinku swoim wycinkowo
węzłowe zadanie miał scentralizować,
gdy w kwestii formalnej ujrzał trudność nową
i nie umiał do niej się ustosunkować.

Ale uczulony pozytywnym słowem
tę trudność, jak zwykle rozwiązać się starał,
gdy z łóżka na ziemię stoczył się na głowę —
arcymistrz frazesów — lecz i ich ofiara.

Wiersz zacytowany ma jeszcze wiele usterek formalnych. Gramatyczne rymy (wysłany - złamany, otulił przytulił, marne - koszmarne, pcha się - da się itd.) świadczą o niedocenianiu przez autora roli jaką w wierszu odgrywa piękny i oryginalny zestaw współbrzmień dźwiękowych. Używanie np. jako rymów czasowników, czy przymiotników różnych co do znaczenia, lecz identycznych pod względem budowy gramatycznej jest wyrazem niedbalstwa i „byleiakości" — lekceważenia formy wiersza. O pewnym ubóstwie językowym świadczy fakt, że autor powtarza niektóre określenia i to w bliskiej od siebie odległości („odgórnie mu cisną nieszczęśliwą głowę, zaś z dołu oddolna krytyka go ciśnie"). Brak tu również zwięzłości i precyzji w formułowaniu myśli: niektóre zdania, czy zwroty znalazły się w wierszu tylko dlatego, że jakoś trzeba było zrymować.

Mimo jednak tych braków, wiersz robi na ogół dodatnie wrażenie, gdyż autorowi udało się dość dowcipnie i logicznie zrealizować swoją koncepcję. Obrona czystości i piękna naszego języka przez parodię żargonu administracyjno-politycznego używanego przez większość działaczy społecznych — to pomysł dobry i droga słuszna. Zamiast moralizowania i tanich pouczeń ośmieszenie, oto zadanie satyry.

Może opublikowanie tego wiersza w naszym dziale i uwagi, które przy jego lekturze się nasunęły, będą dla autora z jednej strony zachętą do dalszej pracy, a z drugiej zaostrzą jego samokrytykę i troskę o artystyczny kształt wierszy.

„Jotgiel"

Zapomniany kompan Fredry

Jeżeli małżeństwo bywa czasem zespoleniem charakterów bardzo odrębnych, to przyjaciele dobierają się zazwyczaj zgodnie z „pokrewieństwem duszy", na podstawie wspólnych cech czy zainteresowań. Przebywanie w większych grupach, w szkole lub w wojsku sprzyja nawiązaniu serdecznych stosunków, trwających nieraz całe życie. Literatura zna wiele przykładów takiego „doboru naturalnego": Słowacki i Spitznagel, Mickiewicz i Zan — to pary przyjaciół, którym patronowali mityczni Kastor i Polluks, Damon i Phintias.

Spośród wielkiego kręgu znajomych Aleksandra Fredry zwraca uwagę swą żywiołowością i temperamentem wesoły filut Feliks Boznański. Przyjaźń z przyszłym autorem „Zemsty" narodziła się w wojsku napoleońskim. Podczas gdy jednak Fredro rychło zyskał sławę, Boznański pozostał w cieniu. Był to typ **„chudego literata"**, którego żadne przeciwności nie potrafiły złamać. Pieczeniarz i marnotrawca, amator sztuk pięknych, poeta i dramaturg, skrzypek, człowiek o niezrównanej pomysłowości — oto sylwetka Boznańskiego. Jego hasłem było: **„Śmiejmy się, bo nie wiadomo, czy świat potrwa dwa tygodnie"**. Słusznie tedy we wstępie do swych dzieł wierszowanych zamieścił następujące motto:

Szczęśliwy kto pisaniem czas swój życia trawił,
Szczęśliwy ten, co pisząc — drugiego zabawił.

Bo ja mam włosy rude...

Oprócz mniej więcej wspólnego miejsca urodzenia (Boznański pochodził z ziemi przemyskiej i w wierszach często nazywa siebie przemyślakiem), łączyła obu przyjaciół jedna szczególna cecha — obaj byli rudzi. Do dziś pozostaje zagadką, dlaczego ten kolor włosów wywołuje u niektórych ludzi jeśli nie uprzedzenie, to w każdym razie ujemną reakcję. Przeciwstawia się temu Boznański w rymowanej „Obronie rudych". Na przykładach z historii wykazuje dowodnie, że wielu wybitnych ludzi posiadało rude włosy i że nie jest to wcale mankamentem, a wprost przeciwnie świadczy o dyspozycji do sławy.

Jeśliby tak było, to na osobach przyjaciół uzyskujemy dowód jak złudne i przypadkowe bywają wszelkie wieszczby i przepowiednie. Wspominając okres spędzony w wojsku napoleońskim Boznański pisze:

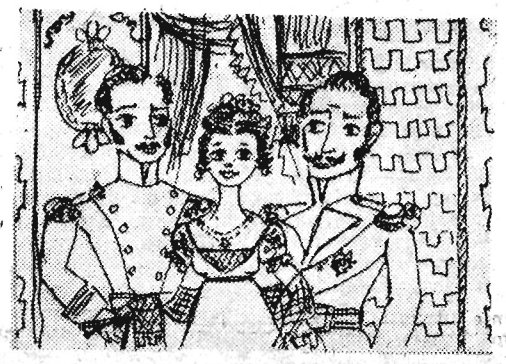

Pamiętasz? strój ułana — pałasz na temblaku
Ja na małym kasztanku — ty na dziarskim szpaku
Bez żadnej troski w duszy śród marzeń bez liku
Musztrowali razem ułany w Górnym Łupienniku.
Gdzie to ta ładna Zosia... wiesz? z czarnymi oczy
Wzrok na ciebie młokosa rzucając uroczy
Mnie stroniła — a z tobą? ot, dam spokój wreszcie
Aby się z nas obydwóch dziś nie śmiano w mieście.

Nie szczęściło się Boznańskiemu również w gospodarce na roli. Prawie zawsze był bez pieniędzy, istny artysta z cyganerii. Ciągle wzrastających potrzeb nie zdołał zaspokoić nawet posag żony, którą poeta poznał w Sieniawie na dworze ks. Czartoryskiego. Co dostał szybko stracił, na źle wybranych dzierżawach i znów zaczęła się mizeria. Znany to zresztą fakt, że literatura i dobrobyt materialny nie często w tych czasach chadzały ze sobą parami.

Salon i magnaci

O wierszach Boznańskiego, których 3 tomy ukazały się we Lwowie w 1830 r. mówi się, że przyszły o 30 lat spóźnione, że nie pasują do epoki, a przy tym noszą na sobie piętno grafomaństwa. Jest w tym racja, że okres historyczny rozkwitu romantyzmu nie sprzyjał tego rodzaju twórczości; tu też kryje się może mała poczytność dzieł Boznańskiego, które wszystkie zresztą wychodziły nakładem autora. Ale jednocześnie są to wiersze przyjemne dla dzisiejszego czytelnika. Treściowo większość z nich obraca się wśród elity szlachecko - magnackiej, prawie każdy poświęcony jest jakiemuś znajomemu czy przyjacielowi, z którym poeta niby rozmawia, polemizuje lub dyskutuje.

Dzięki swej gadatliwości odsłania tu Boznański mimo woli sekrety życia towarzyskiego, ujawnia co się dzieje za parawanem salonu, podaje obrazki obyczajowe o niezrównanej lapidarności. Nigdzie nie tai swego ubóstwa, nie kryje tego, że wśród hrabiów i magnatów jest właściwie człowiekiem bez znaczenia, do czego przyczynia się głównie brak pieniędzy. Podając przykłady własnej bezsilności czyni to jednak zawsze na wesoło, bez jeremiady i rozpaczania. Taka już widać natura. Gdy chce się wybrać na bal do Sieniawy, musi sprzedać za 5 dukatów konia. Żona skorzystawszy z niespodziewanej gratki, wyjeżdża po zakupy do Przemyśla, w domu pozostawiając spis zamierzonych sprawunków.

Trzydzieści łokci kitajki białego koloru,
Petinetty na czepek z łańcuckiego wzoru
Osiem łokci blondyny — szerokiej dwa cale,
Na codzień: szlafroczek z watą, turbanik na gale...
Dwa słoiki pomady, 6 łokci ptifeniu,
A myśląc o zbawiennym męża oszczędzaniu,
Choć potrzeba trzewików — jednakże w złym czasie
Ze skórki par 12 — 6 tylko w atlasie.
Wreszcie pierścień z turkusem i dwa kolce w uszy,
Przeczytawszy spis rzeczy — pomyślałem w duszy
Że gdy za 5 dukatów wszystko zakupi
Albo jejmość szczęśliwa — albo kupiec głupi.

A oto drugie zdarzenie, również uwieńczone wierszem. Zjawiwszy się na balu w Przeworsku, Boznański prosi gospodarza, aby zapłacił za konie, bo on niestety biedny jak przysłowiowa mysz kościelna. Kiedy indziej kpi ze siebie, że **„równie się goły pióra, jak stali** (tzn. pojedynków) **nie boi"**. I jeśli dawni poeci często wzywali pomocy Muz, to Boznański niejednokrotnie czyni apostrofy do... komornika. Z jakąś szczególną ironią i satysfakcją kreśli spis rzeczy oddanych pod sekwestr, wiersz zaś kończy apelem do przyjaciół:

A przeto, choć bez zębów (grzebienie) raczcie płacić za nie
Przez wzgląd — że mnie dzisiaj, wam się jutro stanie.

Postać Boznańskiego jest przykładem jak w rozwoju historycznym następuje ciągłe rozwarstwianie stanu szlacheckiego. Z jednej strony tworzy się potężna magnateria, a z drugiej zastępy inteligencji szlacheckiej mającej na sprzedaż tylko swój talent. Magnatów poeta nie lubi, widać to w wielu wierszach. Tak np. w **„Śnie na noclegu w Lubaczowie"** opowiada, że śnił mu się dostojny pan siedzący dumnie na podniesieniu. Spoglądał z pogardą na wszystko, co znajdowało się poniżej piedestału nie omieszkając wyrazić swych uczuć również poecie. Ale Boznański śmiał się z tego w duchu, chciał nawet coś powiedzieć, lecz niespodziewanie sen się urwał.

Przy innym wierszu autor umieścił następujący przypisek: „Względem mylnie podjętej opinii, że starosta w dawnym urzędowaniu więcej znaczył, niż chorąży (nondatum ojciec mój był chorążym przemyskim). Warto też w związku z tym zacytować fragment pt. „Do Aleksandra Fredry gdy został hrabią". Pisze Boznański:

Wiem dobrze, że nam ślachcie, do Was hrabiów zasię,
Wiem i to, że choć taką jak ty mam duszę
Nim powiem „mości hrabio" wprzódy się zakrztuszę.

Utwór kończy wyrażeniem zdziwienia, że ktoś będąc Fredrą żąda jeszcze większego zaszczytu.

Fortuna kołem się toczy

Nie wiadomo jak ułożyłyby się losy Boznańskiego, gdyby nie okazja jedyna, która postawiła go na nogi w 1843 roku. W tym mniej więcej czasie malarz Jan Tysiewicz sporządził kopię z obrazu **„Maria Magdalena"** pędzla jakiegoś mistrza holenderskiego. Obraz dzięki umiejętnej tonacji świateł zrobił niebywałą furorę, a jakiś szlachcic zakupił go za 500 zł.

Powodzenie to skłoniło Boznańskiego do błyskawicznej decyzji. Zamawia drugą kopię i rusza z nią w objazd po Europie. Aby podkreślić walory malowidła umieścił je w tzw. dioramie, gdzie szczególnie występują plastyczne efekty.

Na trasie podróży znalazła się najpierw Warszawa i Poznań. Stolica przyjęła wystawę dosyć chłodno. Natomiast w Dreźnie, Lipsku i Konstantynopolu powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania. Ludzi ogarniał podziw na widok tego, co krytyka określała czymś pośrednim między malarstwem a rzeźbą. Do kasy wpłynęły takie tysiące, że odtąd Boznański może zapewnić sobie życie wolne od kłopotów, może też dalej wydawać swoje utwory. Tak to rude włosy przyniosły mu wreszcie bogactwo...

W ogólnym dorobku Boznańskiego znalazły się wiersze różne, dramaty, muzyka na uroczystości weselne oraz pamiętniki pt. **„Ostatnie wspomnienia starego huzara"**. Warto jeszcze dodać na zakończenie, że nici pokrewieństwa łączyły naszego poetę ze znakomitą malarką polską — Olgą Boznańską, której sława ugruntowała się pod koniec XIX wieku.

Jan G. Fal

Wł. Ścisłowski

W Warszawie

— Do you speak English? — spytał dziewczynę —
— Non — kiwnęła — zerkając ciekawie,
Niezrażony — tłumaczył godzinę,
jakie wszystko tu piękne w Warszawie.

Po francusku, po duńsku, po włosku,
(w każdym umiał powiedzieć słów nieco...)
A ta milczy ze zmarszczką na nosku,
i minuty wciąż lecą i lecą...

Zrozpaczony więc, wziął ją pod rękę —
— Das ist Palast — pokazał na chmury
i zanucił pod nosem piosenkę,
kiedy ona patrzyła do góry.

Zauważył, że ładnie się śmieje,
i tak jakby coś w sercu... tak prawie...
Więc ją powiódł milcząco w Aleje
gwiazdy łowić w Łazienkach na stawie.

W kręte ścieżki cieniami zasnute,
weszli milcząc — ławeczkę odkryli...
— Och, komary — szepnęła z wyrzutem.
— Bo tu woda — potwierdził po chwili.

WIERSZE JANA ZYCHA

Kiedy po raz drugi odczytywałem wiersze Jan Zycha, nie doznawałem uczucia znużenia czy niesmaku, jakie dość często udziela się czytelnikowi przy powtórnej lekturze słabego utworu. Przeciwnie, w miarę wczytywania się w **„Zielone skrzypce"** zainteresowanie wierszami wzrasta, a wzrasta szczególnie wtedy, gdy autor wykracza poza ramy spraw wyłącznie wiejskich i osobistych i podejmuje nowe tematy oparte na szerszej koncepcji ideowo-artystycznej lub też gdy do opisywanego uprzednio tematu podchodzi w sposób odmienny, nowatorski.

Byłoby niesłuszne i krzywdzące zarówno czytelnika jak i samego autora, gdybyśmy **„Zielonym skrzypcom"** przypisywali rangę dojrzałego utworu. Są one debiutem młodego poety (obejmującym utwory powstałe na przestrzeni paru lat) w którym wyraźnie widać poszukiwanie drogi ideowo-artystycznej właściwej dla talentu i psychiki autora. Dlatego też tomik pierwszy Jana Zycha zawiera wiele utworów dobrych, wartościowych i mniej udanych, powiedzmy wprost — chybionych i w ideowej wymowie i w artystycznym wyrazie.

Sam zresztą tomik również nie przynosi rewelacji. Dla czytelnika mającego za sobą lekturę poetów zajmujących się tematyką wiejską, nie będzie trudno odnaleźć w poezji Zycha wiele pokrewnych tonów, motywów środków stylizacji i artystycznego wyrażania uczuć. Oczywista, w niczym nie przekreśla to wartości **„Zielonych skrzypiec"**. Zych jest zawsze sobą, jest kimś nowym, świeżym, a nade wszystko bezpośrednim i szczerym. Liryka jego miejscami aż grzeszy bezpośredniością w relacjonowaniu przeżywanego wzruszenia czy doznania.

Bezpośredni i naiwnie szczery jest Zych i wtedy, gdy zadaje sobie pytanie: jaki ma smak pocałunek, na które odpowiada:

„Skądże mam się dowiedzieć,
aby o tym powiedzieć
szczerze?"
(„Pierwszy pocałunek")

i wtedy, gdy opowiada o swoim dzieciństwie spędzonym wśród korczyńskiej przyrody, od której nauczył się muzyki:

„Nauczyłem się muzyki
w krajobrazach,
gdzie na trześni gadatliwe
sroki skrzeczą
i kukułka po sto razy się
powtarza,
jednym rymem nazywając
świt i wieczór"
(„Moi nauczyciele")

Ale owa szczerość i bezpośredniość — nieraz potrakowana z humorem — stanowi urok poezji Zycha. Urok ten nie płynie z wartości poznawczych utworów czy siły wyrazu poetyckiego. Źródłem jego jest szczerość, subtelność, nastrojowość, delikatność w opisywaniu zjawisk czy przeżyć. Zych umie wydobyć piękno i wartość słowa, umie ukształtować go w odpowiednią poetycką kompozycję uderzającą melodyjnością, bogactwem zwrotów poetyckich. „Zielone skrzypce" reprezentują stosunkowo szeroki wachlarz tematyki. Niewspółmierną część zbioru stanowią wiersze poświęcone dzieciństwu wsi rodzinnej, przyrodzie, miłości, przeżyciom wojennym. Szczególnie często będzie autor wracał do motywów wsi rodzinnej i przeżyć z nią związanych. Prosto a jakże serdecznie powie o tym wierszu pt. **„Od serca"**:

„Gdzieś tu w Korczynie
są rozrzucone
wspomnień dzieciństwa
ostre kamyki.
Serdecznie dzisiaj
patrzę w tę stronę —
tu się uczyłem
kiedyś muzyki"

Podobnie powie o Krośnie, w którym już w czasach gimnazjalnych zaczął pisać:

„Każda ścieżka
w miasteczku tym —
temat do wiersza.
Tam wyrósł pierwszy
dźwięczny rym
i miłość pierwsza".
(„Krosno")

Mniej miejsca zajmują w tomiku utwory tematycznie związane z okresem studiów, zagadnieniami międzynarodowymi czy wreszcie utwory powstałe w związku z różnymi okolicznościami. „Zielone skrzypce" świadczą o gorącym umiłowaniu ojczystego krajobrazu, o humanitarnym stosunku do człowieka, o nienawiści do tego wszystkiego co niegodne człowieka. Można by postawić zarzut Zychowi, że jego wiersze nie dają szerszej analizy opisywanych zjawisk czy problemów (zwłaszcza wiersze o tematyce wiejskiej), że dotyczą one rzeczy małych. Sądu takiego nie można rozciągać na wszystkie wiersze zbiorku. W poezjach tych, jak już uprzednio podkreślono, widać wyraźnie zapowiedź przezwyciężenia dotychczasowej postawy poety. Wyrazem tego są chociażby takie utwory, jak **„Mały poemat"**, **„W tamten czas"**, **„O wschodzie słońca"**, **„Handlarze"**. Zych zresztą sam zdaje sobie sprawę z przebytej drogi, kiedy stwierdza:

„Jakże mu w oczy popatrzę,
jeśli nie rozpaliłem
żadnej strofy
wysokim ogniem?"
(„Ze wstydem")

W innym wierszu dedykowanym St. Czernikowi, któremu młody poeta składa podziękowanie za podaną dłoń Zych pisze:

„Do innego dojdę brzegu,
inne lata niosąc z trudem
drogą własną, a nie znaną".
(„List")

Wierzymy młodemu utalentowanemu poecie, ale jak będzie kształtować się dalsza jego twórczość — trudno przesądzać i rokować. Jedno jest pewne, że Jan Zych w dalszej swej drodze poetyckiej wzbogaci muzykę **„Zielonych skrzypiec"** nowymi, głębszymi tonami.

1) Jan Zych „Zielone skrzypce", Wydawnictwo Literackie — Kraków 1950 r.

A zabytki czekają...

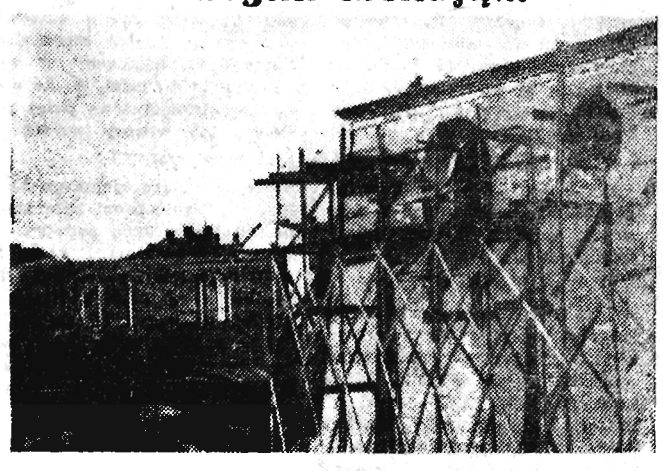

Pozostawione bez opieki konserwatora wojewódzkiego synagogi rzeszowskie na nowo porastają zielskiem.

Nic dziwnego. Kilka miesięcy woj. rzeszowskie nie miało konserwatora.

Co na to Ministerstwo Kultury i Sztuki?

Nie, drodzy Czytelnicy, ten pytajnik nie jest tytułem naszej kolumny satyrycznej. Odpowiedniego tytułu (krótkiego, dowcipnego, a zarazem wyrażającego sens i zamierzenia naszej satyry) jeszcze nie mamy i dlatego zwracamy się do Was o pomoc. Ogłaszamy błyskawiczny konkurs na tytuł naszej strony satyrycznej. Przysyłajcie swoje propozycje. Dla zwycięscy konkursu przeznaczamy wartościową nagrodę książkową. Każdy uczestnik konkursu może nadesłać dowolna ilość proponowanych tytułów. Pomysły należy przesyłać na adres: „Nowiny Rzeszowskie" Rzeszów, Plac Stalina 1, z dopiskiem na kopercie „Konkurs błyskawiczny" do wtorku 23 VIII br. Decyduje data stempla pocztowego.

KĄCIK filatelistyczny

II Międzynarodowe Igrzyska Sportowe Młodzieży, odbywające się w czasie V Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie zakończyły się ogromnym sukcesem reprezentantów ZSRR.

Do umasowienia i propagandy sportu w Związku Radzieckim przyczyniają się również piękne znaczki sportowe, wydawane przez pocztę Kraju Rad.

J. Krywiak.

nie trudno ZGADNĄĆ

KRZYŻÓWKA (5 punktów)

Poziomo: 2. szpalta (inaczej), 5. ilustrowany tygodnik (wspak), 6. twórca utworu literackiego, 7. ważny dla prasy środek łączności, 11. eliminuje błędy drukarskie, 12. odmiana (inna wersja) tekstu lub rysunku, 14. najważniejsza zaleta człowieka, 16. opera Moniuszki, 17. mają największy kłopot z nieczytelnymi rękopisami artykułów itp., 18. dziennikarstwo (inaczej), 21. lęk, 24. publikuje dekrety rządowe (wspak), 25. zachwalanie czegoś (również w prasie), 27. pochyły druk, 28. zbiór map, 29. liczba porządkowa czasopisma 30. dowozi prasę tam dokąd brak kolei.

Pionowo: 1. urojona wiadomość prasowa, 3. figuruje zwykle obok numeru i daty czasopisma (wspak), 4. pośredniczy w kolportażu prasy, 7. brzmienie (osnowa) artykułu, 8. muszą ją wykonywać również i dziennikarze, 9. przedpłata za czasopisma, 10. jeden z ważniejszych tygodników, 13. w prasie — dział szczególnych wydarzeń, 15. Anna (zdrobniale), 16. gazeta (inaczej), 19. miasto pow. w naszym województwie, 21. litera po rosyjsku, 22. zauważone w czasopiśmie lub w książce błędy drukarskie, 23. niezbędny w wydawnictwie materiał, 26. do niego idą niezamówione przez redakcję słabe utwory (wspak).

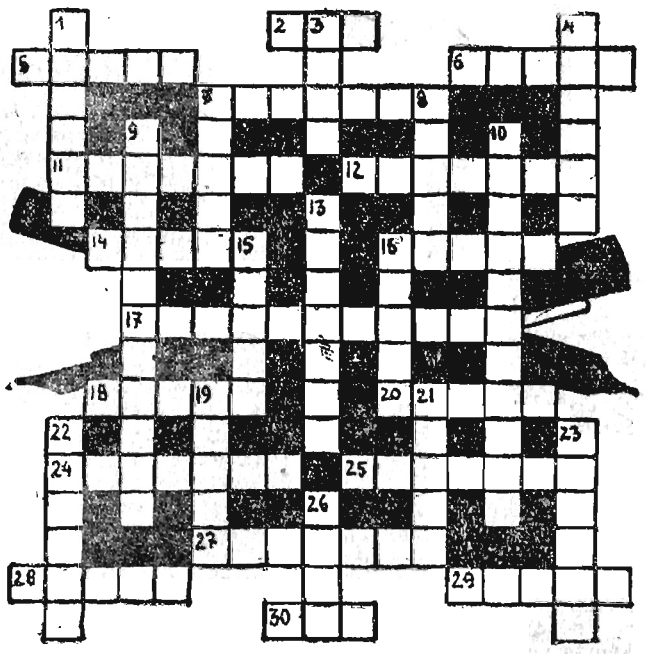

ROZWIĄZANIE ZADAŃ I NAGRODY

Nr 23 (269) Zagadka kołowa: „Praca to skarb" (przodek, macocha, Zatopek, łososie, adwokat, obrońca).

Co to jest? „Zegar".

Nr 24 (270) Jaki to sport?: „Maraton"; Logogryf dla sportowców: „Drogosz — Piórkowski" (półśrednia, lekkośrednia, piórkowa, kogucia, lekkopółśrednia, musza, lekkopółśrednia, ciężka, półciężka, półśrednia, lekkośrednia, kogucia, piórkowa, musza, lekka, średnia).

Nr 25 (271) Urywek powieści: „Łoskot fabryki głuszył kroki, ciemność uniemożliwiała rozpoznanie koloru ciemnego ubrania, posiadanie broni było kompromitujące wobec policji".

Nagrody otrzymali: Z nr 23 (269): Bogusław Kapralski z Dubiecka, Jerzy Lach z Mielca i Marian Wolicki z Warchołów.

Z nr 24 (270): Zbigniew Krawczyński z Sarzyny, Władysław Jarzemski z Krakowa, Zbigniew Daracz z Rzeszowa.

Z nr 25 (271) Jan Łęgowski z Glinika Mpl., Halina Smolińska z Łańcuta, Alicja Butrym z Przemyśla. Nagrodę autorską na „Logogryf sportowy" z nr 24 (270) otrzymał Stanisław Żelazko z Chorzelowa.

PIĘKNIE BYŁO NA SPŁYWIE

Na przystani kajakowej w Sanoku niecodzienny panował ruch. Wokół leżących na brzegu srebrzystozielonych kajaków krzątali się młodzi ludzie — turyści z całej Polski. Kogóż tu nie było. Studenci z Wrocławia i Łodzi, stoczniowcy z Gdańska, technicy i elektrycy z kieleckich fabryk, architekci i prawnicy z Warszawy, pracownicy różnych zakładów pracy z Rzeszowa, Przemyśla, Sanoka, Leska... Kobiety, mężczyźni, młodzi, starsi...

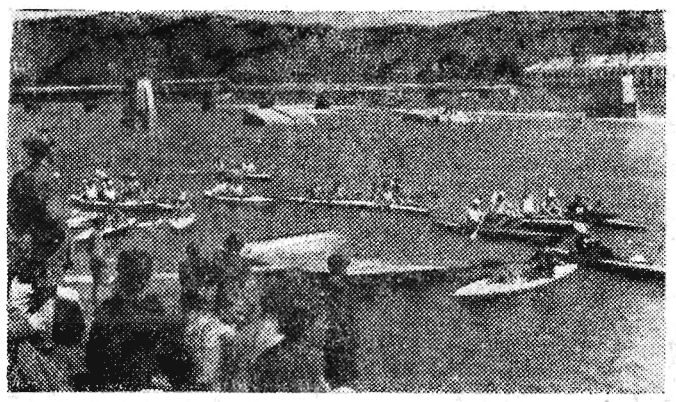

To uczestnicy Spływu Wodami Polski do Granicy Pokoju — potężnej przedfestiwalowej imprezy turystycznej. Właśnie trwają ostatnie przygotowania — sprawdzanie sprzętu — bo już wieczorem rozpocząć się ma wędrówka na wodnym szlaku Sanu. Trasa niemała. 310 km — aż do Sandomierza trzeba przepłynąć.

Wezbrane są po niedawnych deszczach wartkie wody Sanu. Rzeka wygląda groźnie. Ile dostarczy emocji — przekonamy się niedługo... Mieszkańcy Sanoka serdecznie żegnali odpływających turystów. Rozpoczął się spływ. Defilada kajaków i... zniknęli za zakrętem rzeki.

Niesposób oddać piękna okolicy. Już zaraz za miastem San przebija się przez głęboki i malowniczy przełom. W dali pasmo Słonych Gór. Nad lewym brzegiem rzeki panuje najwyższy szczyt — Kopacz, u jego stóp San gwałtownie zmienia kierunek tworząc rozległe „kolano". Liczne progi i głazy, jakimi usiane jest koryto rzeki zakryła wysoka woda, lecz mimo to co chwila przed dziobem kajaka wykwita pienista grzywa wodna, tocząca się po nierównym dnie woda faluje, kotłuje się, pieni a bystry prąd rwie jak szalony. Nikt nie zliczyłby okrzyków zachwytu — warszawiacy, gdańszczanie, ci wszyscy, którzy po raz pierwszy spotkali się z górską rzeką i ci, którzy już nieraz pokonywali jej niebezpieczny żywioł — jak urzeczeni dali się ponieść jedynemu w swej krasie pięknu sanockiej ziemi i jej rzeki. Nie dziwcie się, bo nikt oprzeć się temu nie zdoła.

Jak z bicza przeleciało 17 km. Mrzygłód. Tu koniec I etapu. W mgnieniu oka na brzegu wyrosło miasteczko namiotów. Jeść! Obrotniejsi już taszczą zakupione w okolicznych domostwach jajka, mleko. Błękitnym płomieniem migocą przed każdym namiotem spirytusowe palniki „kocherów" — gotuje się kolacja. Apetyt dopisuje. Cóż dziwnego — po takiej drodze...

Nad wyraz serdecznie przyjęli nas mieszkańcy Mrzygłodu.

* * *

Pogórze Dynowskie stanowi szeroki obszar długich garbów, o stromych stokach i wyrównanej wierzchowinie, pokryty zwartymi lasami. Garby zostały pocięte przez liczne potoki przełamujące się w obniżenia dolinne. to tu to tam na stokach garbów odsłaniają się poszarpane skały. Niezwykle piękna i charakterystyczna jest dolina Sanu biegnąca w poprzek całego pogórza. Nieliczne tu ludzkie osady. Na prawym brzegu prawie ich nie ma. Dookoła cisza — tylko San z pluskiem przedziera się nieustannie krętą wstęgą swego dzikiego koryta. Między Dynowem a Przemyślem dolina Sanu jest szczególnie malownicza. Rzeka, przebijając się przez wysokie fałdy pogórza, wyżłobiła w miękkiej skorupie piaskowców i łupków romantycznie wyglądające jary i wąwozy.

Dubiecko, Krasiczyn, Przemyśl. Zwiedzamy historyczne zabytki, ślady starych dziejów tych ziem. Kiedyś, w XIV wieku był w Dubiecku obszerny zamek warowny. O nim to pisał poeta epoki Oświecenia Franciszek Karpiński, że:

„Nad samym dwór Dobiecki brzegiem Sanu leży,
Który niestatecznymi zakrętami bieży,
Wdzięczne kępy czystymi ramiony okrywa"...

Dziś pozostały po zamku tylko nieznaczne ułomki muru, zasypane lochy oraz piękny park, a w nim lipa, pod którą według podań miał tworzyć Ignacy Krasicki. W Krasiczynie podziwialiśmy zamek, należący do najcenniejszych zabytków polskiej architektury renesansowej. Bogata jest historia tego zamku, bogata w fakty i legendy. W basztę zachodnią wmurowany jest okrągły kamień — o nim to mówi legenda ludowa, że odpowiada wielkości bochnów chleba, jakie wypiekano na zamku, a były one dla ludu twarde jak kamień, jak dola pańszczyźniana chłopów w wielkopańskich dobrach.

* * *

San żegna się z pogórzem. Jego wody wtaczają się w bardziej płaską, przerywaną tylko tu i ówdzie stromymi, wąskimi wąwozami, wcięciami drobnych strumieni w gliniastych zboczach płaskowyżu — Kotlinę Sandomierską.

Lecz i tu nie można narzekać na brak wrażeń. Wzdłuż rzeki ciągną się długimi szeregami kępy olszyn, a potem Lasy Sieniawskie. Wysokie brzegi toczą nieustanną walkę z wrogą im rzeką. Czy widzieliście kiedy, jak podmyty kawał ziemi z hukiem spada w jej nurty? Woda pochłania go i tylko zraniony, odarty brzeg i rozchodzące się kręgi fal świadczą o odbytej niedawno tragedii...

Jakżeż szeroko San wlewa swe wody w toń Wisły. Szkoda, że już tylko kilka kilometrów dzieli nas od Sandomierza. Koniec naszej wędrówki.

L. K.

Psst... nie budźmy niedźwiedzia

Wprawdzie świetlica gromadzka w Kosinie pow. Łańcut nie jest pozbawiona należytej opieki ze strony miejscowych władz, bo to i lokal odpowiedni i na kierownika został przeznaczony niebylekto tylko sam przewodniczący koła ZMP Staszek Trojnar, który przecież na odpowiednim poziomie powinien postawić pracę kierowanej przez siebie placówki, ale cóż z tego? Staszek Trojnar pogubił się widocznie w kalendarzu... tak, tak — w jego mniemaniu już teraz jest mroźna zima i nasz kierownik-niedźwiedź zasnął niedźwiedzim snem... a z nim praca kolektywu zetempowskiego.

„Jest — a jej nie ma" — można powiedzieć o świetlicy w Kosinie — bowiem jej rzeczywisty obrazek wygląda następująco: jeden stół, dwa krzesła, szachownica, 21 kg 46 dkg kurzu i głucha pustka jak w grobowcu egipskiego faraona lub w podziemnych katakumbach. Nic się w niej nie dzieje...

Psst...! nie budźmy niedźwiedzia. Niech się wyśpi.

Tymczasem wybierzmy się do sali miejscowego domu społecznego. Odbywa się tu właśnie „wesoła" ludowa zabawa. Wejdźmy do środka... ale gdzie tam — ścisk, tłok, przysłowiowa szpilka się nie zmieści. Orkiestra gra poleczkę. Tańczące pary obijają się o siebie, potrącają wzajemnie...

— Józiek uważaj trochę, bo mi łydkę na goleń przekręcisz — tak mnie kopnąłeś.

— Ojej, Gienek! — bo mi zęby powybijasz...

— Ściągaj Kaśka te nylony bo ci jeszcze z 20 oczek poleci...

— Chłopy, chłopy! — wynieście Maryśkę na powietrze, niech trochę tchu złapie...

Słyszymy oderwane zdanie, a gdy orkiestra milknie odzywają się inne głosy:

— Maryś, Maryś przytrzymaj, muszę wykręcić marynarkę...

— Nie kręć Felek na podłogę, bo się w tym twoim pocie potopimy. Poczekaj aż wiadro przyniosą.

— Patrzcie, deszczu nie ma, a z sufitu kapie...

Istotnie, organizatorzy zabaw w Kosinie wpadli na genialny pomysł. Za jeden „tani" wstęp na zabawę można się odpowiednio... wykąpać. Tak, oczywiście! — pomysł godny rozpropagowania nie tylko w Kosinie ale i za granicami... Pipidówki. Ot, co znaczy uproszczenie sobie życia! Niech teraz spróbuje ktoś powiedzieć, że w Kosinie nie ma łaźni? Niech przyjdzie i przekona się... na zabawie w domu „społecznym" wystarczy w tym ciasnym i pełnym kurzu lokalu zatańczyć dwa „kawałki", a już cały brud z człowieka po plecach i nogach z potem do butów spłynie. Lepszej parówki nie potrzeba.

Ale nie tylko to. Wnioskując na przyszłość przewidujemy: śpiący kierownik świetlicy z Kosiny zbudzi się w miesiącach zimowych i z całym aktywem zetempowskim wprowadzi nową formę rozrywki. Za dochód z „zabawłaźni" zostanie wybudowana podłoga do tańca i już w styczniu przy 32 stopniach mro zu zainaugurowana zostanie zabawa pod hasłem „Bawimy się na świeżym powietrzu"!

Co? To już znana forma rozrywki? Nie! Tego jeszcze nie było. Pomysłowi organizatorzy zabaw z Kosiny i tu wprowadzą pewną atrakcję — będzie nią: zabawa — ślizgawka. Niech tylko pomyślą o wypożyczalni łyżew...

J. W.

WŁ. ŚCISŁOWSKI

Kwaśki

PLAMA

Do chemicznej pralni oddałem raz spodnie —
na słowo honoru — tak na trzy tygodnie.
Minęło pół roku — dziś je znowu włożę,
lecz została plama.... na pralni honorze.

NIEŚCISŁOŚĆ

O szefie powiadasz,
Że pusta to głowa?
Nie pusta. Przesada.
A woda sodowa???
Pytam go o pracy najnowsze wyniki —
Odniósł się krytycznie. Do wszelkiej krytyki.

MECHANIZACJA PRACY

On mechanizację w czyn wprowadza ślicznie —
wszystkie sprawy załatwia przecież mechanicznie.